

Agnieszka Kołakowska: Niedźwiedź a wojna w Syrii

Teoria globalnego ocieplenia jest przez rządy mile widziana, bo daje im to, co rządy lubią najbardziej: możliwość rozszerzenia władzy państwa

Teoria globalnego ocieplenia jest przez rządy mile widziana, bo daje im to, co rządy lubią najbardziej: możliwość rozszerzenia władzy państwa - przeczytaj tekst z tygodnika Rzeczpospolitej "Plus Minus"

Zauważyć należy i niestrudzenie powtarzać, że globalne ocieplenie jest pod wieloma względami rzeczą niezmiernie przydatną. Nie chodzi mi o to, że mniej ludzi będzie umierać z powodu zimy, że oszczędzimy na ogrzewaniu, że będą kwitnąć roślinki i drzewa (jeśli się przyjmuje, że przyczyną ocieplenia jest wzrost dwutlenku węgla w atmosferze, a przyczyną wzrostu dwutlenku węgla jesteśmy my), ani że – jeśli się przyjmuje, że ocieplenie jest przyczyną wzrostu opadów deszczu – afrykańskie pustynie zakwitną lub przeobrażą się w lasy (choć warto mieć na względzie badania opublikowane w piśmie „Nature Climate Change”, które wykazały, że spowodowane przez gazy cieplarniane deszcze pokonały susze w Afryce Subsaharyjskiej).

Rzecz w tym, że na „globalne ocieplenie” można zwałać wszystko, także chorobę pieska i nagły zgon cioci Rózi. Jednocześnie można się domagać astronomicznych ilości pieniędzy w celu przeprowadzenia badań mających na celu wykazanie, że potrzeba jeszcze bardziej astronomicznych ich ilości w celu zwalczania ocieplenia. Mało kogo interesują fakty. Wszyscy (a zwłaszcza politycy) chcą się wykazać troską o środowisko. I drżą w obawie, że jeśli nie wykażą się dostateczną gorliwością, zostaną potępieni jako „negacjoniści”, a może też (to najnowsza moda, o której za chwilę) porówna się ich do krecjonistów.

Korzyści z takiej strategii nadal są ogromne – dla polityków, dla dziennikarzy, dla producentów zielonej energii, dla pośredników, dla instytucji, dla „badaczy” klimatu, dla „ekspertów” wszelkiej maści. I oczywiście dla dobrego samopoczucia. Bo jeśli nie ma problemu, to nie ma pieniędzy. Więc – nie bacząc na fakty – alleluja i do przodu.

Warto jednak sięgnąć po termin o większym zakresie niż „ocieplenie”, a mianowicie po „zmianę klimatu”. Na zmianę klimatu można – a nawet należy – zwałać, nie bacząc na fakty, wszelkie zmiany temperatur wszędzie, susze, powodzie, głód, deszcze, burze, huragany, ciepłe oceany, zimne oceany, zimne noce, wiatry ciepłe, wiatry zimne, ciepłe powietrze, zimne powietrze, troszeczkę za chłodne powietrze, pociągające za sobą potrzebę wdziania sweterka, zgon (w trybie nagłym lub nie) każdego misia polarnego i niezliczoną liczbę coraz to innych rzeczy. Ostatnio została ona uznana za odpowiedzialną także za wojnę w Syrii.

Nie ma dowodów? Tym gorzej

Za 50 lat ma być – czytamy prawie codziennie podobne przewidzenia, niedawno między innymi na łamach „Rz” – o 5–6 stopni cieplej. A może tylko 3? A może aż 8? (To niebywałe, jak meteorolodzy, na ogół niezdolni do przewidzenia, czy jutro będzie padał deszcz, umieją z taką dokładnością przewidzieć, co będzie za 50 czy 100 lat). Oceany się ocieplają i pochłaniają więcej dwutlenku węgla. A może się oziębiają, może pochłaniają go mniej, nie wiadomo dokładnie, ale na pewno coś złego robią i komuś jakoś zagrażają. Ich poziom wzrasta i mieszkańcy rozmaitych wysp będą musieli rychło uciekać albo uczyć się żyć pod wodą. Nic wprawdzie na to nie wskazuje i niektóre z najbardziej ponoć zagrożonych wysp w okolicach Australii wręcz się powiększyły, ale może trzeba to rozumieć dialektycznie.

„Dialektycznie” to znaczy „naukowo”: tylko idiota by powiedział, że nie można czegoś stwierdzić, bo nie ma żadnych wskazujących na to śladów. A wątpić w coś, bo ślady wskazują na coś wręcz przeciwnego, to już dziecinnie błędne rozumowanie. Misie polarne mają się coraz gorzej i rychło wyginą wskutek braku lodu (mimo dowodów, że lodu nie tylko nie brak, lecz przybywa, a misie mają się całkiem dobrze, o czym też za chwilę). A słynna „pauza” w ociepleniu trwająca już od 1998 r., a więc blisko 20 lat, jest przez zagorzałych rzeczników teorii o globalnym ociepleniu rozpaczliwie tłumaczona na kilkadziesiąt różnych sposobów.

Doliczono się ich już 63, a należą do nich: słaba aktywność słońca, cykle słoneczne, chiński węgiel, oceany pochłaniające dwutlenek węgla, wolne wiatry, szybkie wiatry, ciepły Pacyfik, zimny Atlantyk (lub może odwrotnie), zbieg okoliczności. Pojawiają się również takie tezy, jak „w ogóle nie ma żadnej pauzy”, „modele nie brały pod uwagę wulkanów”

oraz „bierzemy pod uwagę nie te dane co trzeba”. A w ogóle, oświadczyli niektórzy rzecznicy globalnego ocieplenia, temperatura na powierzchni Ziemi nie jest jego dobrym wskaźnikiem. Temperatura oceanów też nie, bo to zbyt skomplikowane. Zapewne okaże się niedługo, i zostanie to ogłoszone jako kolejny „naukowy konsensus”, że temperatura jest tu całkiem nieistotna i w ogóle nie ma nic wspólnego z globalnym ociepleniem, przepraszam, zmianą klimatu.

Może więc pora znów coś o klimacie powiedzieć: o tym, co wiemy, i o tym, czego nie wiemy. Jak się rzeczy mają naprawdę? Otóż znane dziś fakty są następujące.

Po pierwsze: średnie temperatury na powierzchni Ziemi nie wzrosły od prawie 20 lat, mimo silnego wzrostu poziomu dwutlenku węgla w atmosferze. Fakt ten jest zaprzeczeniem przewidywań niemal wszystkich komputerowych modeli, według których mieliśmy w tym czasie doświadczać systematycznego wzrostu ciepła. Modele te zakładały też, że wzrost temperatur jest przyczynowo ściśle związany ze wzrostem dwutlenku węgla w atmosferze, co też zostało obalone. Powtarzam, bo to fakt najważniejszy: poziom dwutlenku węgla co roku wzrasta, a mimo to od prawie 20 lat powierzchnia Ziemi się nie ociepla.

Brak korelacji między ociepleniem a dwutlenkiem węgla nie powinien dziwić: od początku związek ten był niejasny i nadal nie wiadomo, w jakim stopniu poziom dwutlenku węgla w atmosferze wpływa na klimat. Ani też jaki jest mechanizm tego wpływania. Ani jaką rolę w poziomie CO₂ odgrywa ludzkie działanie. Przypomnijmy, że obecny poziom dwutlenku węgla w atmosferze jest względnie niski w

porównaniu z poziomem w ciągu ostatnich kilkuset milionów lat, kiedy to bywały one dwukrotnie, dziesięciokrotnie, nawet dwudziestokrotnie większe niż dziś, w tym podczas epok lodowych.

Więcej lodu, nie mniej

Po drugie: na Antarktydzie grubość pokrywy lodowej jest niemal wszędzie powyżej średniej i jest go więcej niż w zeszłym roku. To też przeczy wszystkim komputerowym modelom, które przewidywały katastrofalne jego zmniejszenie wskutek ocieplenia. Według amerykańskiego National Snow and Ice Data Center (NSIDC) majowy lód na Antarktydzie pobił w tym roku rekordy i co dekadę rośnie o 2,9 proc.

Po trzecie: że w ciągu ostatniego pół wieku Arktyka się ociepliła – to nie ulega kwestii. Ale ociepliła się w stosunku do lat 60. i 70., które były wyjątkowo zimne (nie mówiąc o wieku XIX, który był lodowaty). Nie wiadomo natomiast, czy ociepliła się w porównaniu z pierwszą połową XX wieku. Zwłaszcza w obliczu faktu, iż – jak wyszło niedawno na jaw – oficjalne dane na temat temperatury na powierzchni Ziemi zostały „poprawione”: w setkach przypadków dane zbierane przez tysiące stacji meteorologicznych na całym świecie „dostosowano” do przewidywań komputerowych tak, aby pokazywały dużo większe ocieplenie, niż faktycznie miało miejsce.

To kolejny skandal w tej pełnej już skandali dziedzinie. Dane z wcześniejszych lat ubiegłego wieku „poprawiono” w dół, z ostatnich lat zawyżono. Podobnego majstrowania na dużą skalę, zwanego

popularnie „chłodzeniem przeszłości”, dokonano z danymi pochodzącymi z Arktyki. Analizujący je specjaliści twierdzą, że prawie wszystkie wyniki, od Grenlandii do Syberii, zostały w ten sposób „poprawione”.

W Arktyce ubytek lodu latem bywał w przeszłości rzeczą normalną i dość regularną. Ale nawet w sezonie letnim ubytek lodu nie jest szczególnie spektakularny, a zimą lód zdaje się być stabilny. Najmniej go było w 2007 r. Od tego czasu następuje poprawa. Wiemy też, że lód i temperatury na Arktyce podlegają ok 60-letnim cyklom związanym z cyklami oceanów, które z kolei są związane ze Słońcem. I wiemy – z badań NASA opublikowanych w roku 2007 – że to cykliczne zmiany zimnych i ciepłych prądów Oceanu Arktycznego, związane z tzw. oscylacją arktyczną, są w dużej mierze odpowiedzialne za zmiany klimatu na Arktyce.

Istnieje duża korelacja między temperaturami w Arktyce a cyklami Słońca i cyklicznymi oscylacjami oceanów – Pacyfiku i Atlantyku, wielokrotnie potwierdzona w najnowszych badaniach. Wiemy też, że temperatury arktyczne są skorelowane z cyklicznymi przyływami zimnej i ciepłej wody z Atlantyku. Prądy ciepłej wody z tego oceanu ocieplają części Oceanu Arktycznego, przyczyniając się do topnienia lodu latem i zmniejszając jego przyrost zimą. Wielu rzeczy – zwłaszcza o oceanach i prądach – jeszcze nie wiemy, ale wiemy, że te zmiany mają istotny wpływ na temperaturę i grubość pokrywy lodowej Arktyki. Wiemy też, że cykliczne ciepłe prądy w oceanach nie mają nic wspólnego z dwutlenkiem węgla ani z ludzkim zachowaniem. Warto też zauważyć, że komputerowe modele klimatyczne żadnych z tych rzeczy nie biorą pod uwagę.

Po czwarte: misie polarne mają się dobrze. Ostatnie badania wskazują, że populacja niedźwiedzi w Arktyce jest stabilna lub wręcz się zwiększa. Zoolog Susan Crockford wykazała niedawno wyraźny związek między spadkiem liczebności populacji niedźwiedzi polarnych a grubszym lodem wiosennym: gdy wiosną lód jest gruby, zwierząt (w tym ryb), którymi się żywią niedźwiedzie, jest mniej albo są one trudniej dostępne. Mimo to, pisze pani Crockford, wina za spadek populacji niedźwiedzi standardowo zrzuca się na zmniejszenie grubości pokrywy lodowej latem, mimo że nie ma na to żadnych dowodów. Przeciwnie – często zmniejszeniu lodu latem towarzyszy spory wzrost populacji niedźwiedzi.

Obserwacje niedźwiedzi potwierdziły też, że błędne jest założenie o niezmiennej stabilności lodu jako siedliska, zwłaszcza na wiosnę. Grubość lodu na Arktyce od wieków zmienia się na wiosnę co kilka lub kilkadziesiąt lat. Nie ma to nic wspólnego ani z cieńszym lodem latem, ani z dwutlenkiem węgla produkowanym przez ludzi.

Upał jakby zelżał

Po piąte: Słońce jakby ostygło. Przewidywany jest na najbliższy rok najśłabszy cykl plam słonecznych od 1906 roku, czyli od ponad wieku. Jest coraz więcej dowodów na bardzo istotną rolę, jaką odgrywa Słońce w zmianie klimatu (m.in. przez chmury). Korelacja z „pauzą” wydaje się istotna.

Co robią „ociepleniowcy”? Dwudziestoletnią przerwę we wzroście temperatur globalnych usiłują tłumaczyć na różne sposoby: w tej chwili największą popularnością wydaje się cieszyć teoria, że ocieplenia nie ma, bo ciepło zostało pochłonięte przez oceany.

Ale pochłonięcie ciepła przez oceany jest niczym innym jak elementem tej właśnie naturalnej zmienności, o której była mowa powyżej. I rzeczywiście, wszystkie lub prawie wszystkie czynniki wpływające na klimat – w tym Słońce, oceany, prądy morskie – podlegają naturalnej zmienności. Tyle że w modelach klimatycznych, których „ociepleniowcy” nadal bronią, o tej zmienności mowy nie ma. Mowa jest natomiast o powodowanym przez działalność człowieka („antropogennym”) ociepleniu powodowanym przez dwutlenek węgla – hipoteza w oczywisty sposób sprzeczna z koncepcją naturalnej zmienności. Tak więc podejmowane przez „ociepleniowców” próby wytłumaczenia „pauzy” w ociepleniu są w sposób jaskrawy sprzeczne z modelami, których nadal bronią.

W lutym tego roku ukazały się w piśmie „Science” dwa artykuły na ten temat, jeden z nich współautorstwa „ociepleniowca” Michaela Manna, słynnego twórcy doszczętnie zdyskredytowanego „wykresu hokejowego” z 1999 r. W pierwszym artykule ogłoszono z powagą (jakby było to zaskakujące odkrycie!), że „w ciągu ostatnich 130 lat okresy naturalnej zmienności na Pacyfiku i na Atlantyku wzmacniały globalne ocieplanie albo mu przeciwdziały”. Coś takiego! W drugim tekście, współautorstwa Manna właśnie, napisano, że oscylacje na Atlantyku i Pacyfiku stworzyły „fałszywą pauzę”, która kiedyś się skończy (ale nie wiadomo kiedy ani dlaczego), i wtedy globalne ocieplenie powróci ze wzmożoną siłą. Podsumujmy argument ociepleniowców: pauza jest

fałszywa, bo zaraz się skończy, a zaraz się skończy, bo jest fałszywa, ale tymczasem można ją wytłumaczyć oscylacją oceanów, o której nigdy nie było mowy w naszych modelach. Mimo to modele są słuszne, choć też żadnej pauzy nie przewidziały, ale co z tego, skoro jest ona fałszywa.

A co z huraganami, burzami, cyklonami, tornadami, deszczami, tsunami, powodziami i innymi tego typu „ekstremalnymi” zjawiskami meteorologicznymi? Nadal nie ma najmniejszych dowodów na to, że jest ich więcej, niż było, ani że są związane z ociepleniem, ani że wskutek ocieplenia są silniejsze. Huraganów na Atlantyku było w ostatnich latach o wiele mniej niż zwykle. Na tornada – mówią znawcy tornad – ocieplenie nie może mieć wpływu. Nie może też wywoływać burz. Pod względem powodzi też nie stwierdzono żadnych globalnych zmian. Poziomy oceanu gdzieś się podnoszą, ale nie wiadomo dlaczego – być może to też ma związek z prądami i oscylacjami – i nikomu na razie nie zagrażają.

Mimo braku jakichkolwiek dowodów rychłej klęski histeria związana ze „zmianą klimatu”, podsycana przez media, polityków i lewicowych ideologów ocieplenia, nie przestaje rosnąć. Politycy wymyślają coraz to nowsze wielomiliardowe wydatki, by zwalczać tę „najpotworniejszą broń masowej destrukcji” (jak określił ocieplenie John Kerry, ale podobne brednie wygłasza wielu innych polityków). A już w ostatnich latach ideologiczny i polityczny wymiar sporów o klimat rozrósł się w sposób groteskowy.

I to mimo blisko 20-letniej przerwy w ociepleniu, mimo świadomości, że zmiany klimatyczne są rzeczą niezmiernie złożoną, że choć wiemy o poszczególnych ich aspektach coraz więcej, pozostaje jednak wiele niewiadomych, i że całego obrazu – Słońca, oceanów, prądów, oscylacji, turbulencji, wiatrów, chaosu i interakcji wszystkich tych rzeczy – nikt na razie ogarnąć nie może; mimo otwartej kwestii wrażliwości klimatu na dwutlenek węgla i coraz liczniejszych dowodów, że jest ona prawdopodobnie o wiele słabsza, niż przewidują modele; i mimo coraz nowszych badań wskazujących na rolę Słońca, wiatrów i oceanów.

Rekiny branży klimatycznej

A może nie „mimo”, lecz „wskutek” tych rzeczy? Straszanie klimatem to przemysł, który rozpaczliwie chce przetrwać: zbyt wiele osób czerpie zeń profity, zbyt wiele jest z nim związanych wpływów, władzy, pozycji, pieniędzy. Więc im słabsze argumenty, tym agresywniej trzeba atakować drugą stronę. Były już skandale, wyzwiska („negacjoniści”, „faszyści”, „reakcja”), groźby, odmowy publikacji, manipulacje, fałszowanie danych. Te rzeczy trwają i się nasilają. Ale nasiliło się też coś gorszego. Politycy, rządy i administracje wypowiadają się dziś na temat nauki w sposób, jakiego świat nie widział od czasów Galileusza, a przynajmniej od czasów Łysenki, o którym za chwilę. Obama ogłasza, co nauka ustaliła w sposób bezapelacyjny. W Anglii sceptykom wśród ministrów w rządzie powiedziano, że mają siedzieć cicho i trzymać się linii rządowej. Państwowej telewizji BBC zasugerowano z kolei, że powinni prosić o pozwolenie, gdyby jakiś sceptyk miał się u nich wypowiadać, i w ogóle żeby wpuszczali ich mniej – innymi słowy, chyba nie wpuszczają już nikogo, bo i tak już prawie ich nie wpuszczają.

Teoria globalnego ocieplenia jest przez rządy mile widziana, bo daje im to, co rządy lubią najbardziej: możliwość rozszerzenia władzy państwa. Musimy – mówią – regulować każdą sferę życia, prywatną i publiczną, komercyjną i niekomercyjną, bo inaczej zaraz pochłoną nas oceany. Biurokraci i klimatolodzy też na tym zyskują: ci pierwsi dostają granty rządu wielkości budżetu małego afrykańskiego kraju na badania, które powierzają tym drugim. Wszyscy zyskują. Alleluja i do przodu.

Przypomina się Łysenko, dla którego nauka musiała być zgodna z komunistyczną doktryną i który z tego powodu odrzucił i potępił m.in. genetykę mendlowską i prześladował prawdziwych naukowców, którzy się z tym nie zgadzali. Związek Sowiecki zapłacił za to zapaścią rolnictwa i klęską głodu. I jak kiedyś dla Łysenki, tak dziś dla ociepleniowców i wielu zachodnich rządów nauka jest czymś, o czym ma decydować państwo. Żadne odstępstwa od oficjalnej teorii nie są dozwolone. To skojarzenie narzuca się dziś do tego stopnia, że o Łysence zaczynają mówić nie tylko ci, którzy pamiętają te czasy lub coś o nich wiedzą, kojarzy się on nawet cytowanej powyżej pani od misiów.

Kilka lat temu doszło do tego coś jeszcze: sprytne, podstępne, cyniczne, wielopiętrowo zakłamate odwracanie kota ogonem polegające na zrównywaniu „sceptyków” globalnego ocieplenia z krecjonistami i innymi antynaukowymi nurtami. Modni, wpływowi lewicowcy jęli próbować argumenty godzące w ociepleniowców – argumenty budowane na podstawie nauki i faktów – obrócić przeciwko ich autorom, tzn. sceptykom: tym, których lubią nazywać „negacjonistami”. (Wyzwisko to notabene samo już pokazuje, że teoria globalnego ocieplenia stała się rodzajem politycznej religii).

Krytyk literacki Michael Bérubé już w 2011 r. wpadł na ten pomysł. Warto go zacytować, by przyjrzeć się manipulacjom, jakich dokonuje. Wyłożył on mianowicie tezę o tym, jak to – uwaga! – „lewicowa postmodernistyczna krytyka pojęcia prawdy została przejęta przez prawicowych ideologów szukających przyzwoitego płaszczyka, pod którym mogliby odrzucać teorię zmian klimatycznych, ewolucji i innych przyjętych w nauce wniosków. (...) Negacjoniści w dziedzinie zmiany klimatu i kreacjoniści atakują teraz naukowców (...) za pomocą argumentów wypracowanych przez akademicką lewicę (...) i chcą delegitymizować badania naukowe”.

Po czym przychodzi mu do głowy inny modny dziś antynaukowy nurt, mianowicie ruch antyszczepionkowy, więc żeby było zabawniej, dorzuca go do kreacjonistów w swoim zrównaniu sceptyków w kwestii ocieplenia z siłami reakcji i ciemnoty: „Powinniśmy jasno powiedzieć, że antropogenna zmiana klimatu jest faktem, tak samo jak faktem jest, że szczepionki nie powodują autyzmu, że Ziemia kręci się wokół Słońca i że Adam i Ewa nie jeździli do Kościoła na dinozaurach”.

Innymi słowy, jeśli ktoś nie przyjmuje jako faktu, ba, jako prawdy objawionej przez klimatologów, a jednocześnie bezapelacyjnie ustalonej przez naukę i potwierdzonej przez „konsensus”, którego istnienie trzeba uznać za niekwestionowalne, że Ziemia ociepla się wskutek wzrostu stężenia dwutlenku węgla w atmosferze, który to wzrost z kolei jest skutkiem ludzkich działań – znaczy to, że odrzuca podstawy nauki tudzież racjonalne myślenie i tkwi w ciemnocie, miłując zabobony.

A jeśli nawet ktoś nie odrzuca hipotezy, że globalne ocieplenie istnieje i że w jakiejś mierze przyczyniają się do niego ludzkie działania, i że w jakiejś mierze jest ono związane z dwutlenkiem węgla? Jeśli jedynie uważa, że badania w tej dziedzinie nie są w pełni decydujące, że wielu rzeczy jeszcze nie wiemy, że może do ocieplenia przyczyniają się także inne czynniki, że modele, których przewidywania okazały się błędne, może mają gdzieś jakieś drobne wady i że „debata” może nie jest całkiem „zamknięta”, a fakty naukowe „ustalone”? To wystarczy, by uznać, że jest „antynaukowy”, niczym nie różniąc się od kreacjonisty, który wierzy, że Adam i Ewa chodzili po Ziemi z dinozaurami 6 tysięcy lat temu, czy od rodzica, który się upiera, że szczepionki powodują autyzm.

No i rzecz jasna – co w oczywisty sposób się z tym łączy – jest ideologiem reakcji. Aha, i jeszcze kapitalistą. Tak samo przy tym niebezpiecznym, co wszyscy wyżej wymienieni. Nie, nie tak samo: o wiele bardziej! Bo przecież całe życie na ziemi jest zagrożone. Właściwie – to wyczuwalny, choć niewypowiedziany wniosek – należy takich ludzi zakneblować i unieszkodliwić. A najlepiej po prostu ich wyeliminować.

Bezczelność takich insynuacji jest godna podziwu. Ale trzeba je odeprzeć, rozsypać poszczególne nitki tego kłamliwego bełkotu i powiedzieć jasno, jak jest naprawdę. A jest całkiem odwrotnie: jak każdy chyba gołym okiem widzi, chociażby na podstawie powyższego cytatu, to lewicowi ideolodzy kneblują tych, którzy nie wykazują się dostateczną wiarą, we własnym interesie manipulują opinią publiczną, zniekształcają prawdę i delegitymizują naukę. Słowem, wszystkie ich oświadczenia są czysto ideologiczne, oparte na objawieniu właśnie, nie

na nauce, którą całkowicie ignorują, a cały ten bełkot sprowadza się do powiedzenia, że króluje na ziemi Kościół Globalnego Ocieplenia, a kto do niego nie należy, jest heretykiem. Nie chodzi o prawdę nauki, chodzi właśnie o prawdę objawioną.

Antropogenne globalne ocieplenie nie jest faktem porównywalnym do faktu, że Ziemia kręci się wokół Słońca. Ani do faktu, że brak jakichkolwiek dowodów na to, by szczepionki powodowały autyzm, i że teoria ta została doszczętnie zdyskredytowana, a jej autor pozbawiony prawa praktykowania medycyny w Anglii. Antropogenne globalne ocieplenie jest jedynie teorią, czy raczej po prostu hipotezą (bo teorią jest tylko w sensie potocznym, nie w sensie naukowym), pełną niesprawdzonych czy wręcz fałszywych założeń, metodologicznie wadliwą (mówiąc bardzo ogólnie) i opartą na modelach, które jeszcze nic słusznie nie przewidywały.

Klimat jest rzeczą niezmiernie skomplikowaną i nikt nie wie, jaka dokładnie jest prawda o wzajemnym oddziaływaniu tysięcy elementów, które się do niego przyczyniają. Naukową postawą wobec skomplikowanych naturalnych procesów jest skromność, otwartość i gotowość do dalszych badań. Nie jest nią mówienie, że „debata jest skończona”, i kneblowanie naukowców, których badania wykazują, że może jest inaczej.

Agnieszka Kołakowska

Tekst ukazał się w tygodniku Rzeczpospolitej "Plus Minus" - 20-21.06.2015

